

**Zbigniew Makarewicz**

## PARADOKSALNE PAMIĘCIOWE POJEMNIKI POJĘCIOWE

### *przedślowie*

Pomimo, że od dawna zamierzałem „coś wydać”, jako książkę, a zatem jakby dzieło zamknięte i skończone, to jednak przez wiele lat nic takiego jak książka, dom, drzewo, dziecko mi się nie przydarzyło. Tak już pewnie to przeszło, to życie, gdyby nie najzupełniej przypadkowa rozmowa ze sprzedawczynią, panią sprzedawczynią, ze stoiska z drobiem w hali targowej „Arena” we Wrocławiu przy ulicy Komandorskiej. Ta mi wprost oświadczyła, że mam książkę napisać nie znając mnie przecież. Taka była KONSEKWENCJA NAWIĄZANEJ ROZMOWY, CO MI SIĘ PRZYDARZA DOŚĆ CZĘSTO BO LUBIĘ PROWOKOWAĆ KONTAKTY Z CAŁKIEM PRZYPADKOWO SPOTYKANymi LUDźMI.

To jest próba zapisywania najważniejszych ułomków pamięci. Paradoksalne Pojemniki tym razem bardziej są pamięciowe niż pojęciowe. Zamiar nie jest bezinteresowny. Przywoływanie pamięci, czym nie powinienem się w ogóle trudnić jako wytwórca, wydało mi się konieczne, tak bardzo znane mi wydarzenia zanikają, są przywoływane w zupełnie szczątkowych wersjach i w karykaturalnym kształcie. Rzecz nie dotyczy jednak Historii przez duże „H”, ale historii małej, osobistej, historii sztuki najnowszej tj tej, którą sam mogłem obserwować na żywo i współtworzyć.

Pizę we Wrocławiu.

Teraz jest to ponure miasto z dogasającymi resztkami, niegdyś, w o wiele gorszych czasach, rozkwitających humorem i pomysłowością ludzi wolnych duchem. Dzisiaj przemykają chyłkiem tępieni przez rozprzestrzeniającą się w szybkim tempie mielocz i swołocz. Tak to jest – dawne dobre czasy mają to do siebie, że są dawne, minione, a nowe wcale nie nadchodzą.

Jest zatem tak jak powinno być – zimowy późny wieczór. Plucha za oknem, po świętach Bożego Narodzenia. Nastee,,uj nan ponury i uczę soę jedn olczesnie pisać na kiomputerze nbie paryzsc na klawiaruw, a to powoduje wiele zabawnych nirpo4odzunuehnń.

Nie jest łatwo zacząć. Niewiadomo właściwie od czego i ppo co. Wprawdzie napisałem już po co to piszę, ale zwątpienie wciąż wraca.

Należałoby zacząć od początku.

Początek mojej opowieści może jednak zaczynać się równie dobrze od końca. Jaki więc jest koniec? Koniec jest niewesoły.

Jest właśnie taki, jak na początku zaznaczyłem.

Czym był początek?

Trzeba by poszukiwać go cofając się coraz dalej i dalej wstecz. Różne były początki. Różne dla różnych ludzi i dla mnie też będzie różny ten początek w stosunku do innych początków mojej historii.

Nie chodzi przecież o zwykłą historię życia jednego człowieka.

Chodzi o to, co on, właśnie ten, a nie inny człowiek widział, jako ważne dla niego i dla jeszcze innych i co być może będzie ważne gdy zostanie przywrócone pamięci, chociaż zostało pominięte i niejako na początku, właśnie na początku – unieważnione.

***Kusi mnie, aby od razu powiedzieć, że od razu zostało UNIEWAŻNIONE WSZYSTKO TO, CO WŁAŚNIE MOGŁOBY BYĆ I W PEWNYM SENSIE BYŁO, WAŻNE.***

Ale jak ważne?

Historycznie?

A jeśli historycznie to w jakiej historii?

Politycznej ?

Ekonomicznej?

Religijnej?

Społecznej?

Kulturalnej ?

O tak! W kulturalnej!

Pojęcie kultury jest jednakowoż rozległe.

W jakim to czasie i w jakiej to kulturze – narodu, państwa, kontynentu, czy całej ludzkości, działy się rzeczy ważne ale i unieważniane nieomal natychmiast?

I gdzie konkretnie zachodziły te znamienite zjawiska?

A jeśli tak znamienite to czemu – Ach! Czemu?! - tak bardzo zapomniane, że jeden tylko i to wcale nie najważniejszy głos chce o nich głośić?

Trzeba rzecz uściślić i założyć jakiś ład.

Mogę przyjąć zatem, że to dzianie się, ważne jeszcze teraz, ale tylko dla mnie, miało gdzieś miejsce i w jakiejś dziedzinie odbywało się – w kulturze rzecz jasna – ale ściślej rzecz biorąc w kulturze artystycznej, w polskiej kulturze artystycznej i w tym czasie, w którym to ja - Zbigniew Makarewicz mogłem w tej kulturze uczestniczyć, raz jako obserwator wydarzeń, a innym razem także jako ich uczestnik – bohater (niektórych przynajmniej). Wypadałoby więc zamknąć, w jakiejś ramie czasu minionego, to przywoływanie obszarów zagubionych w „pamięci – niepamięci”. Niech to będą lata 1958 – 2002. Rzecz dzieje się w Polsce, ale nie można już powiedzieć, jak niegdyś, „więc nigdzie”.

W Polsce, we Wrocławiu. W samym Środku Europy, a jednak jakby na zupełnym marginesie. Bo czymże były te wątle środowiska zajmujące się uprawą sztuk plastycznych, a jeszcze ściślej sztuk pięknych we Wrocławiu w tamtych latach?

Marginesem marginesów!

A czym jest teraz?

Marginesem marginesu.

Czyż nie było zatem naturalne i słuszne to zapomnienie?

Gdyby nie to, że z tego marginalium zaznaczono rzecz centralną – pragnienie wolności.

Czytając Barbarze (na głos Jorge Luisa Borgesa wykłady o poezji – z „Odry”) o strukturze metafory, o jej wzorcach, myślałem odruchowo o podobieństwach ze sztukami pięknymi, a także i o śmiesznoścach „artystów” wrocławskich - bo i jakżeby inaczej?

Czytając sobie po cichu Andrzeja Dzielskiego o socjalistycznych złudzeniach i o trzeźwości myślenia „kapitalistycznego”, a także Ziemkiewicza gorzkie tyrady o bezmyślności polskiej klasy politycznej ( brak polskiej myśli politycznej ) pomyślałem sobie, że właśnie tutaj (ale z kim) wypadałoby zacząć myśleć (czy taki margines życia politycznego jak Ruch Odbudowy Polski do tego by się nadawał?).

Nie da się ukryć, i ja się ukrywał nie będę, że jak żyję tak jestem zamieszany w politykę i w sztukę. Zdawałoby się (co poniekórym ponurym ignorantom) że są to tak bardzo odmienne i wrogie sobie żywioły, iż w żaden mądry sposób nie da się ich w jednej osobie połączyć.

Tak pewnie myślał, nie bez odrobiny niejasnej sympatii do mojej młodej osoby, pewien bardzo ważny aparatczyk w 1960 –tym roku (był nim albo Roman Werfel albo Stanisław (?) Falenciak) kiedy mówił – Zrozumcie Makarewicz, że życie i polityka to nie kabaret (byłem wtedy znany we Wrocławiu jako aktor kabaretu „Kalamburek” gdzie odgrywałem postać patronalną – Edula).

Nie da się w życiu, jak widać, uniknąć tych motywów artystycznych i politycznych, a w sztuce nie ma jak obejść się bez samej czystej sztuki - do niczego nie podobnej i do niczego niestosownej, a w niej samej czystej formy, ale przecież poza tymi pięknymi sztukami teatr i parateatry będą mi towarzyszyć przez całe życie, jako tako dojrzałe.

## Rozdział I

### I

### POTWORNOSCIOWY WYMIAR SZTUKI I POLITYKI

#### 1. Pojęcie wymiaru potwornościowego i jego stosowność

Wydawałoby się, tak na pierwszy rzut oka, że sztuka i polityka to sfery radosnej twórczości. Sztuka to gra o „nowe epifanie piękna”(patrz list Jana Pawła II do artystów), a polityka to znajdowanie mądrych sposobów na realizowanie dobra wspólnego (zajrzyj do Arystotelesa). I tak zapewne jest w istocie. Rzecz w tym, że nadzwyczaj rzadko zdarzało mi się znajdować takie odbicie tych istotowych cech w tym, co zazwyczaj określa się jako „życie artystyczne” i „życie polityczne”. W tym właśnie, czyli w różnicy pomiędzy istotą tego, co chcielibyśmy określać jako SZTUKĘ, a zatem - twórczość artystyczną, i w tym, co wypadłoby określać, jako POLITYKĘ, a zatem - twórcze współdziałanie osób we wspólnocie celów godnych jakiejś naszej „polis”, a dostępną doświadczeniu bardzo różną PRAKTYKĄ, zawiera się ów potwornościowy wymiar sztuki i polityki. Tkwiąc, od młodości, po uszy w sztuce i w polityce miałem wgląd również w ich wymiar potwornościowy.

A był to zaiste wymiar potwornościowy w tym sensie, w jakim coraz większa odległość, a więc różnica, pomiędzy istotą, jakże wysokich pojęć i przywiązanych do nich wartości, a doświadczeniem tego, co usiłowano nazywać sztuką i polityką, coraz bardziej i bardziej dawała o sobie znać.

Żeby zacząć od początku, prowadząc, dla jasności wykładu, rzecz jakby od końca - widzę najpierw, że to rozejście się właściwego pojmowania sztuki i polityki z tym, co się faktycznie pod te pojęcia podkłada, a więc w sztuce – dzieła, a w polityce – czyny, ma najgorsze skutki w polityce. Tutaj jest to bowiem nieodwracalne w skutkach. Czas płynie bowiem w jednym kierunku, co ma fundamentalne znaczenie dla naszego istnienia, bowiem przez to właśnie zaistnieliśmy.

Szkoda przez politykę w stopniu najmniejszym wynika już z zaniechania jakiegoś dobrego czynu.. Następuje więc pewne umniejszenie bytu, przez pozostawienie w możliwości tego, co mogłoby uzyskać pełnię istnienia poprzez aktualizację, a więc także do wykonania jakiegoś wytworu, rzecz jasna już nie przez polityka lecz wytwórcę, a więc i artystę być może.

W sztuce takie zaniechanie jest albo wynikiem braku woli by zmierzać ku większemu dobru, albo jest niemożnością rozpoznania wartości, to w najlepszym wypadku, albo, w gorszym, podstawieniem w miejsce oczekiwanego dobra, czyli dzieł sztuki, jako owych nowych epifanii piękna, czegoś co albo jest bardzo niepełnym do nich dążeniem, albo wręcz odejściem od takiego dążenia.

W obydwu wypadkach w miejsce prawdziwie wartościowych dzieł i czynów mamy pozór dokonań. Nie jest to jakieś novum. Takie jest doświadczenie ludzkości, która w swojej historii zna moc przykładów niespełnienia oczekiwanych wartościowych dokonań, a nawet pogńębienia wartości, a więc i doświadczenie zła. To zło ma swój wymiar jednostkowy i społeczny, a im bardziej jest społeczne, tym jest większe.

Przykład może niezbyt filozoficzny, ale prawdziwy to rozmowy z przestępcami gdy przydarzyło mi się spędzić nieco czasu w ich towarzystwie we wspólnej celi (zaprowadziła mnie tam polityka) Było raz w celi dwóch złodziei. Jeden był stary (może pięćdziesiąt lat) a drugi młody (może dwadzieścia dwa).

Oto ten młody złodziej chełpił się swoim rzemiosłem, stary zaś chciał go jakoś zmitygować, wskazując na bezsens takiego życia, którego sam doświadczył. Chciał, na ile mógł, odwieść drugiego człowieka od tego w czym sam tkwił i nawet nie bardzo widział już dla siebie drogę wyjścia.

Morał z tego wynikał taki, że jeśli już mnie samemu nie udaje się zmienić swego życia na lepsze niech przynajmniej inni, jakoś za moją przyczyną, zyskają taką możliwość. Taki to był „dobry łotr”. Gdybyż więcej tych dobrych łotrów! Zło, uczynione w wymiarze czynu – działania, jest nieodwracalne. Co nie znaczy, że nie daje się naprawić jego skutków (ale nie w pełni, bo czas mija) nawet przez samego sprawcę (jeśli się opamięta). W wymiarze społecznym (grzech społeczny i jego struktury instytucjonalne) wymaga to o wiele większego wysiłku, jeśli przyjąć nawet najskromniejszy program naprawy.

Trud ten musi być tym większy im większe jest zakłamanie, to znaczy, że występuje owo przypisanie pojęciu polityki tego co mu zaprzecza już w samej intencji, a więc w świadomym dążeniu do uczynienia jakiegoś umniejszenia zamiast przymnożenia, a nawet dążeniu do radykalnego naruszenia dobra wspólnego, będącego jedynym godnym celem działań w zbiorowości, dla zbiorowości i przez zbiorowość.

Niektórzy twierdzą, że dopiero historia – *magistra vitae* – może ocenić czy działania ich, lub też i innych, były dobre czy złe. To odwołanie się do upływającego czasu jest znamienne. Ma być zatem tak, że w żaden sposób nie możemy tutaj i teraz dostrzec znaczenia dla nas samego działania politycznego. Nie wykluczam, że ma ono swoje dalekosiężne skutki. Są one trudne, a nawet niemożliwe do przewidzenia, niejako z natury rzeczy we wszystkich swoich aspektach. Ale przecież dzieje się tak wtedy i tylko wtedy jest takie myślenie uprawnione, gdy intencje są jasne, zasady przestrzegane, a przyzwolenie zbiorowości opiera się nie tylko na jej powszechniejszym zrozumieniu, że oto dąży się do jakiegoś dobra, ale też że zasady jakie się przyjmuje są niekwestionowanymi etycznie regułami właściwego ludziom postępowania – dobrego i szlachetnego czynu, w myśl prawa boskiego i naturalnego, a więc ludzkiego. I tylko wtedy możemy odwołać się do osądu historii, a więc przyszłych pokoleń, które skorzystają w większym niż my wymiarze z owoców tych czynów.

Do historii odwołują się też krytycy dzieł – utworów artystycznych. Mówią oni: Czas, który nadejdzie sprawdzi wartość dzieł i albo artystycznie je unieważni, albo do znaczenia przywróci. Wszystko to można, a nawet trzeba przyjmować za dobrą monetę, ale tylko wtedy gdy wykorzystano w pełnym zakresie istniejące możliwości analizy samych dzieł i gdy zastosowano porównanie z właściwym ciągiem tradycji, a także bliskimi gatunkowo utworami współczesności. Czymże jest ten „wymiar potwornościowy” w sztuce i w polityce?

Pierwsze, co się narzuca, to przeświadczenie, że to przemieszanie celów, reguł i środków nadaje go ludzkim dążeniom w tych dziedzinach kultury. Jeśli bowiem intencje polityczne włączają do formy artystyczne, albo zastosują dla siebie ich reguły, to można się niechybnie spodziewać samej potworności. A że i intencje nie zawsze bywają czyste, tj. nakierowane li tylko na osiągnięcie dobra wspólnego, to i efekty właśnie bywają potwornościowe czyli wprost potworne.

Oto prasa mi donosi (czytuję „Rzeczpospolitą” i kilka jeszcze gazet i czasopism), że wystawiono pod polskim szyldem różne obscenia w Brukseli, a w tej chwili pani Monika Małkowska szaty rozdziera wobec szerokiej publiczności (na łamach wspomnianej „Rzeczpospolitej”) rozsierdzona tym właśnie, że owym bezeceństwom niektórzy komentatorzy miana artystycznej twórczości odmawiają i straszy w końcu jeszcze gorszą, niż niegdyś cenzura komunistyczna, cenzurą katolicko - kościelną.

Ktoś chce postawić pomnik z trzydziestometrowych trzystu figur rycerzy - zwycięzców w bitwie grunwaldzkiej, a inny wystawia operę „Straszny Dwór” Stanisława Moniuszki w Hali Ludowej we Wrocławiu (dawniej zwanej Jahrhunderthalle). Niemiecki malarz postekspresjonistyczno-abstrakcyjny nominuje swoje wielkie płótna np. „Szczecinowi” i wystawia je we wrocławskim Arsenale, jako jakieś wotum dla Europy, tej jednej i zjednoczonej.

I co ma piernik do wiatraka?

Właśnie mamy tu potwornościowy wymiar sztuki i takież potwornościowy wymiar polityki.

Proporcje są radykalnie zachwiane, a struktury, te przeżyciowe i intelektualne, wykoślawione w swoim biegu bo też przeżywanie wartości np. etycznie doniosłych o tyle jest umniejszone ile malarz musiał oddać sztuce i o tyle sztuka utraciła na doskonałości dzieła ile artysta musiał ustąpić w swoim twórczym rozpędzie polityce, której być może jeśli idzie o intencje należała się, ale w innej formie i miejscu i czasie (albo właśnie w tymże czasie, ale przez inną osobę) właściwa kontrybucja.

Tak samo stanie się gdy przemierzamy intencje religijne, naukowe i proste życiowe dążenia z artystyczną materią, lub te inne materie pomiędzy sobą, co już się religii i polityce, albo nauce i Religii dość często, niestety zdarzało.

Rzekłem, że tkwiłem od młodości w potwornościowym wymiarze sztuki i polityki. Tak właśnie było w istocie. Czasy były takie i są jeszcze poniekąd.

Cóż za znaczenie może mieć jednak ta unikająca przemieszania kategorii „sztuka czysta”, „sztuka dla sztuki”, „sztuka sama w sobie”, czyli twórczość konstruująca w nowy szczególnie sposób swój świat w dziele sztuki?

Wielu myślicieli nie zgadnie, bo tak bardzo już przywykli do owego przemieszania, że w żaden sposób nie znajdują możliwości odnalezienia wartości takich paradoksalnie wyodrębnionych z wszelkiego pożytku utworów. Gdyby zadać im pytanie o pożytki płynące z uprawiania sztuk pięknych, albo poezji, czy muzyki znajdowałiby jakieś wytłumaczenia pożytecznościowe, a choćby i takie, że muzyka łagodzi obyczaje, albo poezja nakierowuje na kontemplację, a ładne obrazy dają przyjemność obcowania z harmonią barw i form, a ponadto te dzieła coś (ich zdaniem) wyrażają i czy to dla narodowej tożsamości czy dla różnych innych sentymentów, uczuć religijnych, lub właśnie religii przeciwnych i przez to (dla wrogów wszelkiej, lub jakiejś szczególnej religii) mają swoistą wartość.

Ale tutaj nie idzie właśnie o takie dzieła, któreby miały cokolwiek wyrażać, lecz takie które miałyby być, same dla siebie wystarczające i jak najbardziej wyłączone z jakiegokolwiek funkcji wyrażania czegokolwiek; dla czyjegokolwiek zadowolenia, lub jakiegoś działania w czyimkolwiek interesie, nawet godnym skądinąd pochwały.

Wiemy o pożytkach płynących z uprawiania sztuk pięknych, muzyki i poezji, wiemy też, że teatr i film i telewizja dają nam, lub raczej mogą dawać, wiele satysfakcjonujących przeżyć jako ich miłośnikom, albo tym którzy oczekują w takich formach potwierdzenia innych, głęboko przez nich przeżywanych, wartości. Co więcej nie widzimy wcale niczego zdrożnego w takiej użyteczności tych pięknych utworów, jeśli ponad to, co użyteczne, są one także piękne.

Pytamy jednak o takie dzieła, o ich szersze znaczenie, którym żadnej użyteczności nie da się przypisać. Pytamy o to czy jest jednak jakiś sens w pracy tych artystów, którzy (jak chce Etienne Gilson) „pracują dla transcendentalnej nieużyteczności”. I jest taki sens, jakby paradoksalnie to nie zabrzmiało.

Być może to istotne dla życia tutaj i teraz, a żyję w Polsce po II Wojnie Światowej, znaczenie tej „transcendentalnej nieużyteczności” zawiera się w tym, że nie ma tam jakiegokolwiek przemieszania kategorii, a zatem byłoby to i dzisiaj, a więc w pierwszych latach dwudziestego pierwszego stulecia, czyli trzeciego tysiąclecia, miejsce w polskiej rzeczywistości kulturowej (żeby użyć terminu Floriana Znanieckiego) miejsce jedyne gdzie do przemieszania kategorii nie dochodzi, a zatem i zasada ich potwornościowego wymiaru nie miałyby zastosowania.

### Sztuka w wymiarze potwornościowym

Sztuka jeśli nie włączymy jej w ów wymiar, czy też nie nadamy jej owego wymiaru (potwornościowego rzecz jasna) zachowuje się na ogół przyzwoicie, tym bardziej, że jako taka nie istnieje (natomiast istnieją dzieła sztuki o czym zapewnia nas E. Gilson). Pojęciem sztuki nie da się bowiem prawidłowo posługiwać tj ustalić sposobu użycia słowa *sztuka* w języku polskim, jak tylko w ten sposób, aby określać nim takie tylko stany rzeczy – wytwory, które wykazują cechy formalnej inwencji, ważne same dla siebie, jako wynikające z procesu twórczego, a zatem przenoszą wyniki pracy nad odnowieniem formy w materii (tak jak to rozumie George Kubler).

Cóż się jednak stanie jeśli użyjemy pojęcia sztuki na oznaczenie stanów rzeczy wcale nietwórczych, lecz zaangażowanych w jakiś inny proceder np. polityczny?

Polityczny czy nie polityczny, ale inny jakiś dział życia czy to dla religii czy dla samego siebie godnego pozyskiwania środków do życia. Stanie się to co się stać musi. Jeśli deklarowane intencje były artystyczne, a nawet formy jakoś do „*sztuki*” upodobnione zaczną pojawiać się efekty potwornościowe. Na czym bowiem polegać będzie upotwornienie warunków zaistnienia dzieła? Ano na tym, że dążąc niby to do bezcelowego zajęcia się formą musimy (przymuszeni sami przez siebie, lub przez jakies zewnętrzne konieczności) właśnie sprawy formy poddać innym kryteriom niż formalne. Dwa odwieczne kryteria oceny dzieła – trudność wykonania i nowość muszą ustąpić jakiemuś zastosowaniu, które narzuci swoje wąskie granice operacjom formalnym. Nie zaprzeczam wcale takiej możliwości, którą znamy z różnych dziedzin swobodnej twórczości, gdzie niejednokrotnie zachodził proces przekroczenia założonych pierwotnie rzemieślniczych jedynie wykonań użytecznościowych, nawet takich jak danie upustu jakimś sentymentom autora (np. nieszczęśliwa miłość), a zatem następowało uwolnienie się formy dla samej gry formalnej i następnie zmierzanie ku harmonii nowych, lub od nowa, nawet dzięki początkowym ograniczeniom, wytworzonych form, czy też nowej interpretacji zastanych możliwości konstruowania dzieła czy to rzeźbiarskiego czy muzycznego, czy poetyckiego.

Może więc zachodzić proces odwrotny prowadzący do wyjścia poza pułapki potwornościowego wymiaru sztuki i także, chociaż to zapewne trudniejsze, potwornościowego wymiaru polityki.

Może być poczęte dzieło w intencji użytecznościowej i tę intencję przekroczyć. Ale nie może być poczęte dzieło sztuki, jeśli w intencji zadeklarowano jego artystyczność po to, aby tym snadniej zmierzać krok po kroku do użycia w jakimś, mniej lub bardziej ukrytym, celu. Taki cel nie musi być wcale z punktu widzenia rygorów etyki naganny. Może to być, np. w wypadku grafika-artysty, chęć zamiany jego wydruków na wydruki np. Narodowego Banku Polskiego, lub Royal Bank of Scotland.

Intencja sama w sobie nie niesie nic zdrożnego. Jeśli jednak coś zupełnie innego zadeklarowaliśmy ten właśnie fakt jest moralnie naganny. Należy zawsze robić to co się przyobiecało, nawet tylko sobie samemu. Nie wolno obiecywać tego, co nie jest w naszej mocy do przeprowadzenia. Na przykład: pracuję w uczelni tzw. artystycznej i wielu moich konfratrów obiecuje, że nauczy twórczości, sztuki. Inaczej mówiąc przyrzeka, że ktoś kto przez pięć lat uczył na kursy malarstwa, grafiki lub rzeźby po uzyskaniu dyplomu będzie jak ten Michał Anioł, Albrecht Durer, Vincent van Gogh, Henry Moor, Andy Warhol albo Joseph Beuys, albo Xawery Dunikowski, a choćby i Jerzy Rosołowicz. Może jeden na tysiąc będzie tak prawie jak Jan Berdyszak. Ale każdy „magister sztuki” (np. po malarstwie) Marcellem Duchampem, albo Henri Matissem a chociażby i Jasperem Johnsem? Niemożliwe! Ale mówią, że możliwe.

To nieprawda!

Taka deklaracja prowadzi bowiem i autora dzieła i zainteresowanych nim na niezbadane manowce. Otwiera kręte ścieżki prowadzące w zaufki nadużycia ważnych pojęć, a zatem wprowadza nieład w kulturze bo zamiast do prostych rzemieślniczo poprawnych, a zatem i uprawnionych wykonań, wikła intencje inne niż stosowane środki i deklarowane cele. I prowadzi do potwornościowych zastosowań, a nie do twórczości artystycznej.

Powiedzmy też wprost, że jeśli ktokolwiek zapewnia, albo tylko myśli sobie w głębi duszy, że oto dzieło sztuki wykona, już go stracił. Chce bowiem czegoś, a nie powinien niczego chcieć, ani oczekiwać po swojej pracy prócz jej wykonania. "Nie-sztuka jest celem artysty!" I jego dążenia są „bez-celowe” – jak mówi Norwid. A ja powiadam - ten kto chce zostać artystą zawsze staje się idiotą! Mając jakieś artystyczne intencje (nawet szczerze!), ale wyprzedzające dzieło i nieszczerze pragnąc sztuki dla polityki, dla religii, dla nauki czy dla chleba, a nawet dla estetyki, dla zadowolenia zmysłów, nieuchronnie wchodzimy w potwornościowe stany, w których to nie jakości, wzięte niejako same w sobie, lecz myślenie tymi poza-artystycznymi celami poczyna dominować nad dziełem i nie dzieło jest tworzone, lecz dzieje się jakaś potworność.

Odwołam się tutaj do porównania z modyfikowaniem genetycznym. Jest genom sztuki, tak jak jest genom polityki, lub nauki, a może i religii jeśli można tak się wyrazić o zjawiskach z rzeczywistości kulturowej w kręgu cywilizacji łacińskiej (europejskiej, zachodniej, euro-atlantycznej). To, co powiem, nie ma doktrynalnej wagi lecz ma tylko przybliżyć obraz zachodzących zjawisk, pomóc w samodzielnej dalszej obserwacji, gdyby ktoś był zainteresowany dalszym funkcjonowaniem wymiaru potwornościowego w naszej kulturze partykularnej (polskiej).

Struktura genomu sztuki, jak i innych tworów zbiorowego geniuszu Zachodu kształtowała się przez tysiąclecia. Gdy się już ułożyła ta genetyczna kodyfikacja, miała ona za sobą pewien autorytet i wielu entuzjastów tego nowego gatunku ludzkiej aktywności. Byli oni w to tak dalece zaangażowani, że w przedłużaniu tego gatunku (twórczości artystycznej) upatrywali jedyny sens swego życia, porzucając inne ważne cele (przedłużenie gatunku ludzkiego w sensie biologicznym, doskonalenie własnej duszy, pomnażanie dochodów rodziny, twórczy wkład w tworzenie finansowego kapitału, przymnażanie wiedzy o naturze, przywództwo polityczne, ratowanie ludzkiego zdrowia i życia, wytwarzanie rzeczy pięknych i użytecznych i wiele wiele innych możliwości rozwoju różnych talentów). Zanim ten genom narysujemy (zapewne przydałby się model przestrzenny przetworzony przez jakiś zmyślny komputer) przyjmijmy chociażby tyle, że wspomniana *bez – celowość* należała do ważnego jego wyposażenia podobnie jak osoba autora, który cały proces tworzenia dzieła inicjował i po pewnym czasie zmagania z własną niemocą i niekompetencją (przecież poczynał rzecz nową, której własny kształt bytowania nie był także jemu do końca znany) kończył własnym podpisem.

Przywołujemy ponadto jako przykład najdobitniejsze i najbardziej popularne formy i figury: malarstwo sztalugowe i autora takich obrazów - malarza artystę, wiersze liryczne i ich autora – twórczego poetę („Poetą się nie jest – poetą się bywa” mawiał Cyprian K. Norwid). Mając w oczach te dwa przypadki odpowiadające dość dokładnie istotowym – genetycznym cechom twórczości artystycznej, pomyślmy co się stanie gdy do ułożonego już genomu twórczości artystycznej włączy się jakiś gen z innej parafii np. z polityki, albo też na odwrót; do genomu polityki zakradnie się gen ze sztuki.

Ten genom sztuki gdy spotka się dążeniem zmierzającym do użycia wszelkich środków dla zrealizowania zamierzonych celów społecznych (politycznych), a nawet posłużenia się wszelkimi strukturami jako środkami, zostanie poddany próbom modyfikacji. Mniejsza z tym gdy idzie o takie działania persfazyjne, w które może zostać uwikłany artysta i przyjąć polityczne intencje za własne. Jego wola i ryzyko, zysk lub strata. Gorzej gdy to jedna grupa zyska stosus przywileju sprawowania władzy i utrwali ten status środkami niegodziwymi, a zatem wciąż będzie poszukiwać jakichś kolejnych środków utrzymania swojej pozycji i niejako po drodze do tego celu natknie się na sztukę. Ta zaś ma już swoje miejsce i jak się rzekło pewien autorytet i trudno oprzeć się pokusie, aby nie zawłaszczyć sobie i tej sfery ludzkiej aktywności. Stanie się to w sposób najprostszy z możliwych – przez nazwanie sztuką, a więc twórczością tego, co jakoś daje się używać dla podtrzymania statusu uprzywilejowanej grupy. Jednakże nie da się używać sztuki bez naruszenia jej genomu, ponieważ ten genom to właśnie istota twórczości artystycznej, która innego celu nie ma poza własnym istnieniem. Nie posiada też żadnej określonej formy, chociaż z każdej może dowolnie korzystać.

Pozycja sztuki w kulturze nie jest jednakże najmocniejsza. Toczy ona przecież nieustający spór z zastanym katalogiem form swobodnej zabawy. Czyni tak w myśl owej paradoksalnej „*bez – celowości*”. (Można za Jerzym Rosołowiczem mówić o „*funkcji bezwzględnej*”.) Nie trudno zatem podjąć działania persfazyjne, które uzupełnią ten brak i w miejsce bezcelowej idei „*sztuki dla sztuki*” nadadzą twórczości artystycznej jakiś sens, wzbogacą ją o szlachetne, społeczne cele, bardziej nakierują na „*dobro wspólne*”, a to dobro wskazuje palcem polityk, bo sam artysta na tym się przecież nie zna. Polityką rzecz jasna zajmują się politycy, a nie artyści. Tak oto chromozom celu politycznego (wspólnego dobra) połączy się z indywiduum autora wzajemnie przecież się wzbogacając. Autor dzieła pozostanie instancją inicjującą proces, ale już jakby pół na pół z politykiem.

Towarzyszyć będzie tym subtelnym modyfikacjom, chwalonym zazwyczaj przez opinię publiczną, refleksja jak gdyby naukowa, która jednak nie bada już tego czym sztuka w jej dziełach jest, lecz stara się dociekać czym sztuka powinna być, a więc i tym jakie powinna, lub nie powinna przyjmować formy. Wprawdzie artyści zachowują na początku takiej modyfikacji pewien autorytet co do formy, ale w końcu tej odwróconej ewolucji (inwolucji) także i to co do nich należało niejako wyłącznie stanie się problemem nauki i władzy. Inwencja może się jeszcze jakoś przejawiać, ale nie ona jest ważna, lecz właściwe tj zgodne z założonymi celami oddziaływanie, takie jakiego oczekuje polityk. W służbie nakierowanej na społeczne cele (szlachetne oczywiście) trzeba się wreszcie odwołać do społecznej szerokiej i jak najszerzej zrozumiałości tych szlachetnych dzieł powstających dla przymnożenia wspólnego dobra. I wreszcie się taką powszechną zrozumiałość osiąga na drodze kolejnych kompromisów z inwencją autora, a w końcu i on działa pod dyktando średniej świadomości estetycznej. To co nazywa się sztuką już się nią tylko nazywa.

Wymiar potwornościowy został osiągnięty!

Dokonana się bowiem kompletna involucja (ewolucja wsteczna).

Dzieło zostało zredukowane do funkcji zestandaryzowanego komunikatu.

Taka involucja może mieć miejsce nie tylko w systemie totalitarnym, chociaż tam, czego mogliśmy doświadczyć, ma swoje znakomite przyspieszenie. Dzieje się tak zawsze gdy dyrektywa polityczna zostanie włączona, nawet w skądinąd godnym celu, np. walki z cenzurą wszelkiego rodzaju (przykład Moniki Małkowskiej – jej postulaty), lub walki z Kościołem katolickim, co już jest chyba mniej godne jako cel (przykład prof. Piotra Piotrowskiego – jego dyrektywy). Idziemy więc po spirali od Żdanowa do jakiegoś „Żdanowa`- prim”. Dlatego muszą się dzisiaj ukazywać nieprzetworzone, ale komunikacyjnie dobitne, formy wzięte z podkultury „blockersów”, z ikonografii i inskrypcji szaleństw, z billboardów i gabinetów figur woskowych.

Dominująca rola środków społecznego przekazu, których wrażliwość ma inne cechy niż reguły przyzwoitości, powoduje, że „sztuka sama dla siebie” definiowana tradycyjnie poprzez formę, staje się w Polsce dostępna informacyjnie mniej więcej w takich samych proporcjach jak w latach 1949 – 1955. Jak sobie przypominam zajmując się wtenczas muzyką, malowaniem i rysowaniem, a także poezją i historią miałem możliwość wyjścia poza ograniczony politycznie przekaz tradycji korzystając z tego co było znane, niekoniecznie bardzo cenione, w najbliższym kręgu rodzinnym i zaufanych nauczycieli w tym i artystów malarzy. Nie wykluczone, że przekaz tradycji owej „sztuki czystej”, „formalistycznej” może mieć i dzisiaj podobne szanse upowszechnienia.

#### Polityka w wymiarze potwornościowym

Teraz podobnie jak w przypadku „genomu sztuki” trzeba przyjrzeć się co się stanie gdy zmodyfikujemy genom polityki. Ten genom polityczny był budowany, w pozytywnym, a więc sensownym rozumieniu słowa polityka, od pradziejów. Niech tylko dla przypomnienia przywołamy tezy Arystotelesa i wspomóżemy go Pawła Włodkowica traktatem z 1415 roku, ale, co najważniejsze, zapamiętajmy wybitnych praktyków, którzy osiągnęli coś dla swojej „polis” w rozumieniu dobra wspólnego. Ich historycznie potwierdzone osiągnięcia dobra, a nie takich czy

innych doraźnych sukcesów. W przydaniu politykowi miana polityka liczy się w zasadzie to samo co w przypadku artysty – nie zachwyt współczesnych, którzy mogą reagować pozytywnie lub negatywnie w myśl swego wypaczonego gustu, lecz wdzięczność potomnych, bardziej rozeznaczonych w tym to jest cennym, bo trwałym osiągnięciem jakiegoś dobra dla np. narodowej wspólnoty, albo państwowej formacji. Co więcej sam polityk nie zawsze byłby świadom swoich najwyższej klasy osiągnięć i nieraz się zdarzało tak jak z Napoleonem Bonaparte, że nie jego zwycięskie wojny i kampanie, ale jakby po drodze zredagowane prawo – Kodeks Napoleona jest tym co dało Francji i Europie wiele dobrego.

Zapewne trwałym dorobkiem była jego myśl wojskowa – strategiczna, ale to tylko narzędzie w rękach jednak niewysokiej klasy polityka, które go przerosło, narzuciło swoje reguły i uroki szybkich zwycięstw (bakcyl tzw. skuteczności).

Z punktu widzenia wojskowości tzw. Powstanie Styczniowe, w zachodnich krajach Imperium Rosyjskiego, w 1863 i 1864 było bez znaczenia (choć jego przebieg skrupulatnie przeanalizował Józef Piłsudski, tworząc następnie model akcji niepodległościowej). Największe i trwałe skutki tego wymuszonego przez reżym rosyjski powstania nie dotyczą też skutków jawnie politycznych (Polska, Litwa i Białoruś i Ukraina nie uzyskały niepodległości), lecz okazały się najważniejsze głębsze konsekwencje programu ówczesnego Centralnego Komitetu Narodowego i rządów sfederowanych krajów Polski (w granicach ówczesnego Królestwa Polskiego – „kongresowego”, Wielkiego Księstwa Litewskiego (Litwa, Łotwa i Białoruś) i Rusi (Ukraina).

Konsekwencje trwale to uwłaszczenie chłopów jako pełnych właścicieli ziemi, którą uprawiają, a zatem zupełnie odmiennie niż w innych krajach Imperium, czyli przede wszystkim w samej Rosji, co carat musiał ex post zaakceptować.

To jest trwale osiągnięcie przesądzające o dwóch procesach, które zostały dzięki temu zahamowane – rusyfikacji (przez działania reżimu imperialnego i jego aktywistów w programie „obrusienija”) i sprawosławizowania religijnego (cerkiew prawosławna była jednocześnie narzędziem ideologicznym Imperium). Niejako pośrednio, jako wynik odrodzenia narodowego mas chłopskich w wyniku tegoż uwłaszczenia, został zahamowany, a nawet odwrócony, proces polonizacji mas ludowych na tych terytoriach.

Skutki pozytywne były jeszcze dalej idące. Oto wytworzona warstwa chłopska – właścicielska nie była już podatna na prymitywną propagandę socjalistyczną i później bolszewicką tam gdzie pamięć o powstaniu była jeszcze żywa, a z nią poczucia własnego interesu związanego już z poczuciem (bo nie z uświadomieniem) własnej podmiotowości jednostkowej i grupowej (narodowej lub klasowej – chłopskiej). Zwycięstwo nad bolszewickim najazdem w 1920 roku dało Powstanie Styczniowe. To jego skutki sformowały zwycięskie bataliony wojsk polskich, białoruskich i ukraińskich.

Oslabienie Imperium Rosyjskiego przez rozbudowane przedsięwzięcia rządów powstańczych miało jeszcze w skali międzynarodowej i to znaczenie chociażby, że Rosja pozbawiona dochodów z najbogatszych, najlepiej rozwiniętych kolonii swego Imperium (władze powstańcze przejęły podatki) musiała, dla ratowania finansów rządu, sprzedać Alaskę. Inaczej zapewne potoczyłaby się historia świata i z tej strony gdyby Rosja Sowiecka mogła instalować swoje rakiety na kontynencie amerykańskim i wcześniej jeszcze podsycać przez dywersje i propagandę destabilizację brytyjskiego dominium Kanady i sfederowanych państw Ameryki Północnej. Tego oczywiście powstańcy 1863 roku nie mogli przewidzieć. Przewidywali jednak konsekwencje swego dramatycznego i może nawet tragicznego kroku, bo oto kiedy na emigracji zapytano generała Henryka Bosska-Haukego o ocenę powstania odpowiedział: Zwyciężyliśmy – daliśmy naszym krajom 20 MILIONÓW OBYWATELI.

Dalekosiężne oddziaływanie doświadczenia całości idei, jakie ukazało dobitnie Powstanie Styczniowe, może wskazać i później. Polskie Państwo Podziemne w latach II Wojny Światowej jest tutaj jednym z wyraźniejszych przykładów. Przykład współczesny tego nadzwyczaj pozytywnego oddziaływania znajduję w tekście niemieckiego publicyisty, który porównując społeczności dwóch

nadgranicznych miast – niemieckiego Guben i polskiego Gubina tak pisze, że „Polacy mają liczącą ponad 200 lat tradycję samoorganizowania się. Zawsze kiedy Rosja, Austria czy Niemcy napadały na ich kraj, polskie społeczeństwo niemal całkowicie schodziło w podziemie: administracja, uniwersytety, teatry, gazety, ba nawet policja i armia”. Dla Helmuta Hoega (Frankfurter Rundschau, 25.10.2001) porównanie społeczności po niemieckiej i po polskiej stronie wypada o wiele korzystniej dla Polaków, dla ich samodzielności, samoorganizacji, podczas gdy Niemcy „mają raczej tradycję samoorganizującej się destrukcji”.

Prowadzenie polityki to nie tylko uczestnictwo we władzy, to także, a może nawet przede wszystkim, zdolność owego pozytywnego oddziaływania na rozwój wydarzeń, na głębokie procesy społecznych zmian, które ostatecznie przybierają kształt tego, co nazywamy zbyt wąsko skutkami politycznymi. Pamiętamy jak to swego czasu Józef Wissarionowicz Dżugaszwili (pseudonim „Stalin”) pytał Wiaczesława Mołotowa o to ile papież ma dywizji. Jan Paweł II wykazał aż nadto dobitnie, że prawdziwa polityka nie polega na tym co niemieccy teoretycy określali jako dogmat „realpolitik”.

Jednakże taka polityka może wydawać się nieco nieefektywna i mało ambitna. Nie zakłada bowiem ani wielkości państwa i jego nadzwyczajnej siły, ani nie obiecuje raj na ziemi, nie zmierza do ukonstytuowania doskonałych struktur społecznych inaczej mówiąc jest pozbawiona tego co byłoby celem niejako eschatologicznym – zbawczym, lecz przyjmuje pewien stan niedoskonałości jako nieuchronny i zmierza do uzyskania jakiejś poprawy człowieczej doli przez uparte trzymanie się skromnego (10 punktów) kodeksu zasad. Te miałyby być fundamentem prawa powszechnego. Odwołuje się też do wyższych uczuć ludzi jako osób aby zechcieli ponadto obdarzać innych swoją przyjaźnią i dzielić się dobrami w czynach miłosierdzia. Mało. Misję zbawczą pozostawia sferze ducha – religii. I podobnie nie dąży do zamkniętej doskonałości pomyślanych struktur społecznych jakby w dziele sztuki lub w matematycznych przestrzeniach możliwych do wykreowania.

Jest też inna „polityka”. Ta za dobro jedyne uznane albo pełnię doczesnej władzy nad innymi ludźmi (narodami), albo rozrost imperium, albo wyeliminowanie wszelkiego przypadku z ludzkich jednostkowych lub zbiorowych losów mając wizję doskonałości ponad wszelkim partykularnym interesem jednostek.

W ten sposób dążenie do zbawczej siły ducha (religia) zbacza i swego chromosomu udziela genomowi polityki, albo udziela się jej chromozom twórczości artystycznej, która potrafi tak wiele poświęcić dla osiągnięcia doskonałości dzieła, że czyni to nawet z uszczerbkiem dla doskonałości duszy artysty. Nie obciąża on jednakże tym kosztem duchowym, ani materialnymi kosztami swego powołania innych osób, ani społeczności, w której żyje i dla której w końcu pracuje.

Cóż się stanie gdy chromozom artystyczności dotknie polityki?

Proces będzie bardzo podobny jak wtedy gdy dotknął ją chromosom religii. Oto zamiast dążenia do osiągalnego, wprawdzie nie do końca i w niedoskonałych strukturach, ale wymiernego dobra wspólnego, siły społeczeństwa zostaną zaangażowane do tworzenia tych idealnych struktur, jako ważnych same dla siebie conceptów.

Jeśli włączy się obydwie chromosomy – religii i sztuki – do polityki wymiar potwornościowy zacznie wzrastać i w końcu włączy w swoją przestrzeń życie społeczności. Jeśli ponadto uda się komuś wzbogacić politykę o chromosom nauki wymiar potwornościowy zostanie osiągnięty w pełni. Jednocześnie wiemy, że rola religii w życiu społeczeństw jest czymś szczególnie konstruktywnym, że inwencja w tworzeniu modeli doskonałych struktur estetycznych jest niezbędnym pobudzeniem teje inwencji w nauce i w wynalazczości technicznej, w znajdowaniu nowych rozwiązań w instytucjach życia społecznego i wreszcie wiedza wspomaga nieustannie rozwój. Wszystko na swoim miejscu i we wzajemnym współdziałaniu ale bez włożenia sobie na pola szczególnej kompetencji. Wypada przypomnieć tylko na marginesie postać Trofima Łysenki i jego „dokonań” aby wskazać, niejako przy okazji do czego może doprowadzić przemieszanie polityki i nauki, lub gdzie indziej złowrogą misję teorii Alfreda Rosenberga.

## Wymiar potwornościowy w mojej małej historii

Wymiar potwornościowy w Historii Wielkiej jest możliwy do prześledzenia w literaturze historycznej, ten w małej historii osobistej jest zazwyczaj ukryty. Nie zawsze też wymiar potwornościowy z Historii potrafi dotrzeć do wszystkich uczestników jakiejś kultury. Mnie samemu przyszło spotkać się z wymiarem potwornościowym w wymiarze historycznym na moim podwóreczku na szczęście dość późno, a i to na raty.

Gdy sięgam pamięcią w strony mego dzieciństwa nie ma tam wymiaru potwornościowego. Obrazy z tych lat jakie zdołałem zachować to mieszkanie wuja mego ojca Witolda Sławoniewskiego – fotel bujany, który uwielbiałem i bawole rogi w przedpokoju, łódki na Wilii. Ot i wszystko. Więcej tych obrazów przechowała pamięć z Jurgiszek gdzie mieszkaliśmy, jak u Pana Boga za piecem przez resztę czasu wojny. Stryj Władysław miał wasy i palił fajkę. Dom był obszerny, drewniany, nieco oddalony od samej wsi. Otoczony ogrodem i tuż przydomową pasieką.

Urodziłem się w 1940 – tym Wilnie. Od 1939 roku po rok 1945 – ty przetaczały się przez te ziemie zmienne okupacje i fronty. Wiem z literatury i opowiadań bliskich mi osób, że wymiar potwornościowy owej Wielkiej Historii porywał w swoje tryby całe kontynenty i nasz mały kraj – Litwę Środkową (Litwini mówią na nią „Auksztota”, w Polsce przyjęło się określenie „Wileńszczyzny).

Chroniła mnie przed nim delikatna, ale mocna i trwała tkanka rodzin, klanów, parafii, diecezji, państwa, takiego właśnie podziemnego państwa, które wykreował pierwotnie geniusz powstańców 19863 roku, a teraz kontynuowała Rzeczpospolita, do której od 1922 roku należeliśmy.

Chroniło też samo położenie naszych Jurgiszek, jakby do jakiegoś matecznika, jakby do ostoi grubego zwierza litewskich kniei, ostępów puszczy, w których trwała tradycja naszego Wielkiego Księstwa Litewskiego włączona mniej czy bardziej udatnie w życie polskiej przecież Rzeczpospolitej.

Chronił mnie przed potwornościowym wymiarem historii krąg najbliższy i dalsze kręgi rodzinnych sieci Makarewiczów, a także sieci Leszczyńskich i skoligaconych z nimi Sławoniewskich, Komarowskich, Orłowskich, Kucewiczów, Rutkiewiczów, Daukszów, Niedźwiedzkich, Pietrukiewiczów, Leonowiczów, Bartoszewiczów, Kukiów, Joczów, Czerwińskich,..... wszystkich. Ich sieci sięgały Mińska i Kijowa, a nawet Warszawy i Bostonu w dalekim Massachusetts. Ich siły wspomagały siłę naszego państwa jego wojsko’ wywiad, finanse i wszelkie służby i one nam też służyły. To my byliśmy tym państwem – jego żołnierzami, wodzami, sanitariuszkami i łączniczkami, agentami wywiadu – jego oczami i uszami. Tak stapiała się z polską tradycją bliższa nam tradycja – dziedzictwo wielkiego Xięstwa Litewskiego.

To my – chłopci (włościanie) i szlachta (ziemianie), szewcy, krawcy, kowale, cieśle i stolarze, lekarze i prawnicy, poeci i malarze; my Litwini, Polacy Białorusini, Żydzi, Karaimi, Tatarzy, Rosjanie, Ormianie, Niemcy i Szkoci modliliśmy się o pomyślność w zbiorach i pomyślne boje naszych hetmanów w kościołach, cerkwiach, zborach, synagogach, kenesach i meczetach, w naszych różnych językach – do jednego Boga. Bo w pewnym sensie byliśmy jednej wiary i jednej tradycji, której trudne piękno nadawało blask i wzniosłość skromnemu zwykłemu bytowaniu i dawało siłę w zmaganiach z zalewającymi nas najezdami.

( Stanisław Swianiewicz „W cieniu Katynia”)

Dzisiaj wiem aż nadto dobrze, że trwaliśmy i że to samo trwanie miało wielkie znaczenie.

Trwaliśmy gdy Biały Rosjanin – lekarz Tatarulew ratował moje małe życie, gdy Bronisław Tubielewicz, ukrywający się u mego stryja partyzant robił mi zabawki aby pocieszyć mnie w chorobie. Trwałem i ja w objęciach matki, ale przecież nie tylko trwałem – rosłem, rozwijałem się. Rosłem duchem gdy moja ciotka Janina (Leszczyńska) czytała mi bajki, gdy siedząc u ojca na kolanach wyśpiewywałem cienkim głosikiem „płacze Zosia po swym Jasiu ci on jeszcze żyje” – piosenki żołnierskie – polskie i kozackie dumki.

To moje Xięstwo zbierało swoje siły, zdobywało się na nadzwyczajną pomysłowość, zapobiegliwość i wytrwałość w działaniu - dla mnie. Abym mógł żyć i wzrastać, jak wilcze szczenię w jamie, oddające się grom i zabawom z rówieśnikami po to, aby kiedyś włączyć się w gon watahy, wspomagać siły hordy.

To dla mnie wychodziły z lasów zastępy z orłami na czapkach (moi starsi kuzyni umieli wycinać takie orły z papieru i nosiliśmy je na naszych czapkach również) i dla mnie wyruszały, po postoju w Jurgiszkach, dalej. Dla mnie terkotały serie karabinów maszynowych i wybuchały granaty. To dla mnie, wciąż trzymano z dala od mojego matecznika tych w feldgrau i tych w szarych szynelach. Dla mnie litewskich kniaziów równie drzewa Białowieży, Ponar, Kuleszewa zamieniały się w bastiony i dla mnie potomkowie – litewskich kunigasów i ruskich kniaziów, bojarów putnych i podchorążewnych, mongolskich chanów i niemieckich knechtów, szkockich górali, polskich włościan, mieszczan i ziemian, Chazarskich Turków o smagłych twarzach i czarnych czuprynach – oni to, jak zwykle „na wszelką potrzebę Rzeczypospolitej” stawali pod naszymi chorągwiami (tutaj zapewne Trockiego Ściahu) i tworzyli ten krąg – mur piersi.

Jednak wybito moje straże, wzięto w plen moje gwardie.

Tleją ich kości w tajgach Sybiru, gniją w bezimiennych mogiłach na bezkresnych obszarach wśród ruin „Imperium Zła”, ich popioły rozwiewa wiatr pomiędzy barakami Auschwitz, Birkenau, Dachau, Mauthausen....

Wyruszyłem na Zachód. Porzuciłem mogiły przodków, moje kwiaty w ogrodzie, rówieśnicze gry i zabawy i psa i konia na biegunach i sanki i zimy śnieżne, gorące lata, fajkę i wasy stryja... i nie doczekałem powrotu ojca w Jurgiszkach. Nie było go ani w Koleśnikach, ani w Olkienikach, ani w Oranach, ani w pięknym Wilnie. Wiedziałem, że jest gdzieś daleko skąd przychodziły złożone w trójkąt arkusiki brzozonej kory zapisane równym kaligraficznym pismem. O jego powrót prosiłem Tego, który niewidzialnie panuje nad naszymi losami i Tą Panią o słodkiej twarzy ze złożonymi rękami, której wszyscy się polecali. Wiedziałem, że to tylko jej obrazek, ale wiedziałem też, że ona mnie słyszy i wszystko rozumie. Tak mówiła moja mama. I tak się stało. Ojciec wrócił. Ale to było już na Pomorzu u wuja Władysława Leszczyńskiego w Dębogórzynie.

„Chaziain! Otkroj dwier!”

Wołanie powtarzało się.

Obudzony z jeszcze niezbyt mocnego snu zacząłem wykrzykiwać: To tato! To tato!

„Boże! dziecko się obudziło”. Mama i ciotka Janina spieszenie zapalały naftową lampę. Ja krzyczałem swoje: To tato, to tato. Wołanie i walenie już, a nie stukanie w drzwi, znowu się powtórzyło. Chowano co cenniejsze przedmioty. Wreszcie wujek Władysław zaszurał w sieni i niespieszenie zaczął odryglowywać zamki. Zaskrzypiały zawiasy i nastąpiła dziwna cisza. Szeptem powtarzałem swoje: To tato, to tato.

„Wy chaziain Leszczyński?” zapytał głos.

„Da. Ja sam”, jakoś niepewnie i drżąc odpowiedział wuj.

„Tak my k wam przisli” dodał jakiś drugi.

Znowu cisza i tylko ja szeptałem swoje: To tato.

I ten krzyk „Stach! Stach!”

Otworzyły się drzwi z sieni do pokoju. Było ich dwóch. W wojskowych płaszczach. W czapkach uszankach na głowach... i już mocne ręce ojca uniosły mnie w górę. Przytulona do niego matka płakała, a ja powtarzałem swoje: To tato!

Była późna jesień i nastąpiła niezbyt mroźna i nie za bardzo śnieżna zima. Jak to bywa z zimami na Pomorzu.

I znowu w piecu trzaskały polana, ale też tliły się brykiety torfu, wcześniej mi nie znane. Znowu, jak w Jurgiszkach skakały w płomieniach iskierki z opiłków żelaza. Znowu drogą maszerował żołnierz i użalał się nad serduszkami, szedł też żołnierz borem lasem, wędrowali ułani, a żeńcy jak zwykle żęli na górze. Były też nowe pieśni i niewyobrażalne obrazy: ciemnej nocy na stepie i kul świszczących i lasów innych niż te dobrze mi znane. W tych „proklatych lesach pod

Moskwoj”, „skazał lesarub lesarubu”, że piły w rękach już nie może utrzymać. I znowu żeńcy żęli na górze właśnie wtedy gdy pod tą górą przechodzili kozacy. To ataman Doroszeńko wiódł „swoje wijsko - Wijsko Zaporisko – charaszeńko! I robiło się o wiele weselej – „Hej! Dołynoju – Hej –Hop – szyrokaaaaju - kozaki idut””.

Gdy tak śpiewaliśmy siedziałem na ojcowskich kolanach zapatrzony w płomienie, a na to „Hej – hop!” ojcowska noga wyrzucała mnie w górę. Zawsze bałem się trochę tego momentu i oczekiwałem go, bo przecież w górze czekały już na mnie jego dłonie.

Wróciło moich dwóch atamanów – mój ojciec rodzony i, też Stanisław, ojciec chrzestny, Orłowski. Ale nie zbierały się już ich pułki.

I wtedy zaczęli zjawiać się ludzie z innego wymiaru.

Nie zapamiętałem tych twarzy. Może ich w ogóle nie mieli. Mieli samochody i automaty.

Mieli na czapkach orły podobne do tych, których sylwetki wycinaliśmy z papieru z kuzynami w Jurgiszkach, ale te ich były bez korony. Zabierali ojca. Mama znowu modliła się długo i po cichu płakała. Ale ojciec wracał.

W końcu przyszli po mnie.

Nie było to już ani w Dębogórzynie, ani w Złotowie, ani w Koszalinie. Zdarzyło się wiele lat później we Wrocławiu.

## Happening nr 1

Zdarzały się i inne rzeczy. Życia nie wypełniała jedynie represyjna polityka gruboskórnych aktywistów PZPR i ich sowieckich „doradców”. Było trochę miejsca, szczególnie po 1956 roku, na swobodne gry i zabawy formą. Trochę miejsca na odmienność poglądów (można było krytykować prezydenta USA) i upodobań, jak chociażby w modzie na damskie ciuszki, obrazy, krawaty, lub wyposażanie wewnątrz w nowoczesne formy mebli np. stoły w formie nerki, ściany malowane we wzory „Ala Pikaso”. Podobnie i ja, czerpiąc z ducha kultury artystycznej, z jej „wznowionej nowoczesności”, uległem samozadufaniu w moją misję artysty i po pewnych przygodach ukończyłem studia rzeźbiarskie we wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności moimi nauczycielami byli ludzie albo wybitni, albo ucziwi, albo też reprezentujący te obie cechy.

Byłem i jestem nadal przekonany o znaczeniu sztuki w życiu narodów, chociaż to takie dzisiaj niemodne i jestem pewien, że wypada nazywać sztuką tylko to, co rewelacyjnie nowe w formie. Świat może się do tego różnie odnosić i mogą być dzisiaj modniejsze, bardziej „chodliwe” myślnie towary, ja pozostaję przy swoim i przy tym co tak pięknie wyraził Stanisław Witkiewicz pisząc, że dobrze namalowana głowa kapusty jest lepszym obrazem od źle namalowanej głowy Chrystusa. Będę więc w nieskończoność powtarzał anegdotkę o Styce, który na specjalnie skonstruowanym klęczniku z paletą poświęconą przez papieża zabrał się do malowania postaci Chrystusa. Aż tu nagle, z ledwie rozpoczętego obrazu objawił mu się Pan Jezus i mówi „Styka! Wy mnie nie malujcie na klęczkach! Wy mnie dobrze namalujcie!

W polityce czasy się jakoś tam pozmieniały, ale ludzie? A jakże ! Ludzie też się zmienili. Był kiedyś prezydentem Wrocławia Bolesław Iwaszkiewicz, brat znanego poety Jarosława. Miał ten prezydent taki zwyczaj, że przychodził na niektóre otwarcia niektórych wystaw i niektóre dyskusje po różnych klubach na kontrowersyjne tematy. Czasem było to związane z jakimiś ceremoniałami, a często po prostu chciał zobaczyć owe kontrowersyjne dzieła, lub posłyszeć co się o tym mówi. Taka obecność miała i to znaczenie, że rozmiękczała reakcje partyjnego aparatu, w którym miłośników awangardy artystycznej zbyt wielu nie było.

Tak oto Bolesław Iwaszkiewicz przyszedł na otwarcie wystawy Barbary Kozłowskiej pt „Negatywy Fikcji”. Wystawę przygotowało Biuro Wystaw Artystycznych, ówczesnie pod dyrekcją Marii Berny, akurat zarazonej bakcylem awangardy, ale nadal przedstawicielki represyjnego aparatu. Po latach, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku, za innego prezydenta i dyrektora BWA, ta sama artystka przedstawiła w tym samym gmachu wystawę „W kolorze”.

W odróżnieniu od tysięcy dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku żadnego prezydenta na otwarciu nie było, a dyrektor BWA chował się po kątach. Ktoś by pomyślał, zbyt prostacko rzecz jasna, że artystka była kolaborantką i w dawnych dobrych gierkowskich czasach opływała w dostatki, a teraz wprawdzie wymusiła na BWA i na naszym „solidarnościowym” dyrektorze wystawę, ale ten słusznie się od konfidencji z taką małpą zdystansował. Paradoks polega na tym, że ze wszystkim było najzupełniej odwrotnie. Prezydent Bogdan Zdrojewski po prostu na tych tylko wystawach jest obecny gdzie czuje swój interes. Bo teraz są takie czasy, a inne czasy jeszcze nie nadeszły, a ludzie nie tyle zmienili się co się wymienili,

#### Happening nr 2

Prezentuje się Polska w Europie. Polska nie jest Europą, nie leży w Europie. Ale Polska chce do Europy. A tu klops! Nie wiadomo jak się do tej Europy dostać. I tutaj mamy kilka happeningów. Jeden wydarzył się pod hasłem „Irreligia”. Rzecz cała polega na obscenicznym produkcjach poniżających uczucia osób religijnych, przez nieprzystojne użycie symboli religijnych. Taka sobie manifestacja. Bardzo to bliskie erze wczesnobolszewickiej propagandy bezbożnictwa, lub epoce wczesnego Chruszczowa, który zagiął parol na ateizację w przyspieszonym tempie. Środki może są teraz nowsze, ale tak jak dawniej bywało socjalistyczne w treści manifestacje potrzebują teraz dzieł ponowoczesnych w formie. Jeśli poczyta się Monikę Małkowską i Piotra Piotrowskiego to można zakrzyknąć z niebywałym ubawieniem „Nowe wraca!” – stalinowska kampania zwalczania „katolickiego obskurantyzmu” trwa nadal!

#### Happening nr 3

We Wrocławiu na gwiazdkę Muzeum Architektury dało ekspozycję „Genius loci”.

I co?

I ani jednego geniusza

#### Happening nr 4

W „Rzeczpospolitej” Kłopotowski jakby o zbędności elit. Może jest tak może owak. Polemiści Kłopotowskiego tych elit bronią. Ale czy aby na pewno mamy te same elity? Wydaje się, że one są bardzo różne. Jedna dla narodu polskiego II RP, inne dla narodu PRL, a jeszcze inne dla narodu polskiego III RP. Te elity widać w Sejmie. To są elity różnych narodów.

Wiem z opowieści, że żył był swego czasu na Wileńszczyźnie pan Józef Trusewicz, zwany „Kulturnym”. Zdołałem jeszcze poznać go w 1956 roku. Otóż pan Józef długo się nie żenił i gospodarzył na niewielkiej posiadłości, którą wraz z bratem dziedziczył po przodkach. Był raczej człowiekiem intelektu, ale takiego sposobu myślenia, który prowadzi do uruchomienia woli tj do czynu wynikającego z poczucia zobowiązania wobec racji wyższych, przyjętych świadomie, zbadanych. Wieś nazywała się Gaj. Poziom życia nie był zachwycający, ale, jak to na Wileńszczyźnie – nikt nie głodował, chociaż lud nie chodził zbyt strojnie przyodziany. To było czymś naturalnym po minionych wojnach, a przedtem rosyjskiej wiekowej okupacji. Pan Józef był człowiekiem rozważnym, ale też i odważnym.

Skąd wziął się przydomek „Kulturny” ?

Po długim namyśle, pan Józef zamierzył usprawnić gospodarkę. Był na tyle młody i silny, a także właśnie odważny, że podjął się samodzielnie przeprowadzenia melioracji na nieużytkach należących do jego części gospodarstwa. Przeczytał fachową literaturę, poradził się też znanych mu specjalistów w Rudziszkach, Połukni i w Trokach, porozmawiał z dalszymi i majątniejszymi krewnymi i powinowatymi, którzy takie prace przeprowadzili z powodzeniem i jął się dzieła.

Lato było upalne. Pan Józef wytyczył bieg rowów, jak się później okazało bardzo profesjonalnie, i ciął dziewiczy grunt podmokłego ugoru. Będąc zdala od wsi, a bliżej litewskiej kniei Rudnickiej, w gorące popołudnie pracował ciężko zrzucając wszelki przydziewek. Jak opowiadał jeden z jego sąsiadów, wtedy kilkunastoletni, bodajże Sawicki, intrygowało go i jego kolegów gdzie też o świtaniu wymyka się dzień w dzień „Trusewicz Józiuk”. Wreszcie wysłedzili go. Odczekali. Ruszyli śladem. Z dala słychać było rytmiczne szuranie łopaty i czasem stłumiony, niewyraźny okrzyk. Podczołgali się. Teraz ujrzeli wylatujące w górę grudy błota. Ale człowieka nie było widać. Podpełzli bliżej. W terenie widać już było poczynający się bieg rowu. Z głębi ziemi dobywał się jakby grobowy głos wołającego na puszczy: Kulturo! Gdzie ty! – Szust! I nowe błotne kęsy uniosły się w górę z podziemia i opadły na brzegu wykopu. Szust! I znowu wołanie „Kulturo! Gdzie ty!”

Na brzegu rowu leżał skromny przydziewek Trusewicza – koszula, portki, buty. Nie zdzierzyli. Z ubraniem pioniera postępu wrócili do wsi i podrzucili je na werandzie domu Trusewiczów.

Pan Józef podwieczerek zgłodniał i zamierzał przerwać prace i udać się do domu na posiłek i zasłużony odpoczynek, ale stwierdził, że nie ma jak, bo nie ma ubrania. Możliwości były dwie – albo złodziej, albo zwierz, albo dowcipniś. Spodziewał się, że raczej to trzecie. Głodny, ale, jak to Litwin, zacięty, pracował dalej aż do wieczora. Gdy już chłód mgieł unoszących się nad rojstami dopełnił do jego okopu, postanowił wracać. Miał czapkę na głowie za cały ubiór. Wiedział, że ludzie zeszedli z pól. Wioskowy skierdź właśnie zwoływał do powrotu z pastwisk rozrzuconych w okolicy. Trzody porykiwały, pobekiwały, gdzieniebądź dało się słyszeć rzenie konia. Kończył się dzień, ale na krótko zaczynał się nasilony ruch na wiejskich drogach. Wtedy to klucząc od kępy do kępy krzewów, korzystając z nieznaczących nawet fałd terenu ruszył i pan Józef, ale nie od razu i nie wprost, w stronę domu.

Na skrajach wsi spiskowcy rozstawili czujki. Umówili sygnały i czekali na efekt wejścia gołego Trusewicza do wsi rodzinnej. I nie doczekali się. Pan Józef zmylił ich. Sobie tylko znanymi podejściami dopadł stodoły brata. Tam, ubłocony, zziębnięty i głodny, ukrył się i doczekał kończącej obchód gospodarstwa bratowej. Ta przyniosła mu ubranie nie dając po sobie poznać, że cokolwiek niezwykłego zdarzyło się w obejściu. Musiała to też nieco przemyśleć, aby nie dostrzeżono nic fałszywego w jej zwykłym, codziennym obrządku.

Takie było źródło oryginalnego przydomku „Kulturny”.

I po tym wydarzeniu od samego Gaju po Jurgiszki, Olkieniki, Połuknie, Rudziszki i Troki, a nawet po Soroktatory inaczej już nie mówiono o Józefie Trusewiczu jak „Kulturny”. Mieszkańcy Gaju, widząc różne pożytki, jakie uzyskiwał ich trochę dziwny sąsiad, zaczęli go naśladować. I możeby Gaj się rozwinął gospodarczo i kulturalnie, a za nim cały kraj nad Wilią i Niemnem.

Do dzisiaj nie wiadomo, czy to nie opieszałość naszych „tutejszych” spowodowała, że z misją szerzenia postępu musieli wkroczyć w te okolice najpierw robotnicy i chłopci ze Wschodu, zniecierpliwieni tą naszą powolnością, a po nich dziarscy kulturtraegerzy z Zachodu. Gdy tak, jedni i drudzy, patrzyli z wysokości swoich pancernych maszyn na te małe koniki ciągnące małe wózki, na chłopów w szaro-burym kurtkach z samodziału zapiętych pod szyję, na te babiny zawinięte w chusty, zupełnie bez wdzięku, otóż gdy tak z wyższością spoglądali, nie zauważyli nawet, że Sawicki i kilku innych, znanych przecież lekkoduchów, spotyka się czasem z Trusewiczem – Kulturnym. Najpierw uczciwie przyznali się do sprzątnięcia mu ubrania w tamto skwarne lato. Potem szli z meldunkami, z bronią z zaopatrzeniem coraz dalej i dalej od swojej wioski. Niektórzy wtopili się w puszczańskie ostępy, inni wystawiali skuteczniej czujki we wsiach. Tak odżywał i trwał Ściah Trocki, o czym Kulturny wiedział, ale nie tłumaczył już tego swoim sąsiadom.

## WROCLAWSKA TRADYCJA ARTYSTYCZNA

W 1979 ROKU ZAPROSILEM WALDEMARA PETRYKA, wówczas młodego artystę z Warszawy do galerii „x”(iks) we Wrocławiu. Będąc w Warszawie dowiedziałem się od jego zazdrosnego i złośliwego kolegi, że „Waldek jedzie do Mekki i Medyny”. Taka była wówczas legenda artystycznego Wrocławia. To w plastyce, czy raczej w sztukach pięknych – czystych, a w teatrze było podobnie, tylko w szerszym, bo w zagranicznym oddziaływaniu przez Grotowskiego i Tomaszewskiego.

Wiele z tej legendy by nie zostało, albo w ogóle się nie wytworzyło gdyby nie geniusz Jerzego Ludwińskiego. Ten był krytykiem sztuki, imigrantem z dalekiego Lublina leżącego na drugim krańcu Polski. Człowiekiem wielkiego uroku, bo z wysoką kulturą łączył wielką wiedzę o sztuce i niebywałą erudycję w różnych innych dziedzinach. Lubił sport. Trochę z tej żyłki sportowej brały się jego pomysły także i te, które zrealizował we Wrocławiu.

Wypada więc zakładać, że wytworzyła się tutaj jakaś nowa sztuka, a więc musiała powstać też i jakaś nowa tradycja, bo ta w sztuce jest najważniejsza. Z tradycją wrocławską, tą nową, jest trochę inaczej niż z normalnymi tradycjami. Tamte narastają, są po prostu. Te nowe, jak wrocławska, są bardzo podobne do siebie, tak jak to ma miejsce w np. w Ameryce – są ustanawiane. Nigdy zaś nie wiadomo kto posiadał moc takiego ustanowienia. To się okazuje z czasem.

Piszę sobie tutaj różne rzeczy aż tu nagle prasa donosi (wrocławska), że jest nowy przewodniczący Zarządu Okręgowego ROP na Dolnym Śląsku, niejaki Jarosław Hyk. Donoszą też, że poprzedni przewodniczący artysta rzeźbiarz z ASP nie kandydował. Tak oto rozstałem się z polityką jako postać lokalnie pierwszoplanowa w trzecim rządzie gdzie uplasował się był ROP. Był Olszewski i serdecznie mi podziękował na Zjeździe mimo nędzy organizacyjnej w jaką popadliśmy. Prawdę powiedziawszy meandry decyzyjne Olszewskiego w czasie kampanii wyborczych miały w tej redukcji naszego stanu posiadania (o dwie trzecie) swój udział. Pozwalam sobie teraz na różne złośliwości. Starłem się jak mogłem utrzymać tę partię na powierzchni, starałem się niedopuszczyć do jej rozszarpania przez różne zwierzaki polityczne. Tkwiałem na tej funkcji przewodniczącego (pełniłem ją – jak sądzę - poprawnie) przez lat kilka od 29 czerwca 1996 roku. Najpierw do 2000 r. to Okręg Wrocławski (województwo wrocławskie), potem od 2000 do 2002 r. Okręg Dolnośląski – województwo Dolnośląskie. 27 stycznia 2002 r. przestałem być wreszcie przewodniczącym. Udało się zrobić coś pożytecznego - zebrać zespół rozsądnych i inteligentnych ludzi, którzy być może rozpoczną normalną dalszą działalność.